

MIASTO ŚMIECHU I UŚMIECHU

Cały ten rozdział ma w moim zamierzeniu swoją treścią usprawiedliwić i udowodnić słusność jego tytułu: *Lwów się śmieje*. Przez całe dwudziestolecie przed drugą wojną światową Lwów był niewątpliwie najweselszym miastem Rzeczypospolitej. Nie płocho Warszawa z jej słynnymi kabaretami, nie solidny Kraków z jego czcigodną uniwersytecką profesurą, dumną arystokracją i statecznym mieszczaństwem, nie spokojny, gospodarny Poznań, nie ciche, powolne, melancholijne Wilno, i wreszcie nie żadne inne miasto Polski – ale właśnie Lwów.

Dlaczego zaś był najweselszym miastem polskim – długo by o tym pisać. Warto byłoby to uczynić, ale jednak nie teraz i nie tutaj. Jestem pewien, że to moje najweselsze ongiś i najmiłsze rodzinne Miasto doczeka się należnej Mu okazałej monografii Jego humoru. Brzmi to poważnie, jestem jednak pewien, że sam już temat takiej publikacji wykluczy to, aby była ona przesadnie naukowa i... nudna.

Powiedzmy jednak i tu, i teraz – choćby w największym tylko skrócie, a także niechby nawet chaotycznie – cośkolwiek o przyczynach owej tak bardzo z dawnego Lwowa promieniującej wesołości jego mieszkańców. Jak widać, ośmielam się uogólniać (pamiętając jednak o zasadzie, że wyjątki tylko potwierdzają regułę): tak, w s z y s t k i c h mieszkańców, w s z y s t k i c h lwowian – poczynając od prostego, przedmiejskiego batia-ra, a kończąc na czcigodnym profesorze Uniwersytetu Jana

Kazimierza czy Politechniki Lwowskiej. Wszyscy oni, cały ten serdeczny lwowski lud (z wyjątkami oczywiście, z wyjątkami...), odznaczali się na ogół, obok wszelkich innych cech charakteru i usposobienia, także znacznym optymizmem, stałą pogodą ducha, dużym poczuciem humoru, niepoślednim dowcipem i znakomitą refleksją sytuacyjną.

Dlaczego jednak było tak właśnie? Przede wszystkim chyba z tego powodu, że kolejne pokolenia lwowian, od średniowiecza jeszcze poczynając, były produktem stapiania się w lwowskim tyglu narodowościowym różnych nacji, aliażem powstałym z „miskulancji” najróżniejszych ludów i plemion, które przez stulecia przepływały przez ziemię lwowską. Nie chciałbym się powtarzać, przypomnę więc tu tylko, że o tej właśnie okoliczności oraz o innych psychofizycznych cechach „człowieka lwowskiego” opowiedziałem obszernie w pierwszym rozdziale tego tomu.

Różne cechy swego charakteru i usposobienia lwowianin nabył również od fizycznego środowiska, w którym żył i które go przez wieki kształtowało – od przepięknej geograficznie i przyrodniczo ziemi lwowskiej i jej centralnego zwornika, samego Lwowa. Codziennie postrzegał niezwykłą urodę tej Ziemi i tego Miasta, oddychał ich wspaniałym powietrzem i pił znakomitą, krystalicznie czystą wodę z podlwowskich źródeł dobrostańskich.

Czy w taki właśnie sposób psychicznie i fizycznie ukształtowani lwowianie mogli być spokojni, flegmatyczni, łagodni, ospali czy smętni? Absolutnie nie mogli, nie byli po prostu w stanie. Wręcz przeciwnie – podstawowymi wykładnikami ich natury i usposobienia stały się żywość i ruchliwość, pogoda ducha, wesołość i humor, którymi to cechami zasłynęli na całą Polskę. Wspaniałym tego potwierdzeniem stały się słynne, pamiętne aż po dzień dzisiejszy, nadawane z lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia audycje *Na Wesołej Lwowskiej Fali* z udziałem

niezapomnianych radiowych batiarów, Szczepka i Tońka. Były one słuchane przez kilka lat w każdy niedzielny wieczór przez kilka milionów Polaków w całym kraju.

(Nawiasem i w trybie autoreklamy informuję, że o tym znakomitym rozrywkowym przedsięwzięciu – najpierw radiowym, a potem również estradowym – oraz o jego bohaterach i losach przed wojną, w czasie wojny i po wojnie napisałem w książce *Na Wesolej Lwowskiej Fali*, wydanej w roku 1991 przez Wydawnictwo Polonia).

Wracajmy jednak do tego oto rozdziału. Jego tytuł został sformułowany w czasie teraźniejszym: *Lwów się śmieje* – co, być może, kogoś zdziwi. Zrobiłem zaś tak dla podkreślenia stałej aktualności jego atmosfery i ducha, aby to tak, niezbyt precyzyjnie, powiedzieć. Na rozdział ten składają się bowiem wprawdzie dawne, sprzed wielu już lat, lwowskie anegdoty, żarty i powiedzonka w ich retrospektywnym wyborze – jednakże zawarta w nich pamięć t a m t e g o Lwowa, jego duch oraz jego wesołość i humor żyją przecież nadal, są kontynuowane i pielęgnowane obecnie poza naszym niezapomnianym Miastem przez dawnych, wiernych Mu Jego mieszkańców. A także już – czas przecież płynie nieubłaganie – przez ich dzieci i wnuki. Lwowskość jest bowiem dziedziczna – ciągle otrzymuję tego dowody.

Prawie wszystkie przedstawione w tym rozdziale anegdotyczne przykłady lwowskiego humoru odnoszą się chronologicznie do mniej więcej półwiecza przed drugą wojną światową. Starłem się tekstowy zasób i układ rozdziału urozmaicić tak, aby w miarę możliwości odzwierciedlił zróżnicowany strukturalny skład ówczesnej lwowskiej społeczności oraz jej widziane przez pryzmat humoru zwyczaje i obyczaje. Nie było to bynajmniej łatwe, mimo to znaleźli się w nim jednak i profesorowie, i studenci, i akademicy, i arystokraci, i lekarze, i żydowscy handełesi oraz trochę innych jeszcze przedstawicieli społeczności dawnego Lwowa.



*Kasyno Szlacheckie (Narodowe) przy ulicy Mickiewicza 6,
fot. z początku XX wieku*

Starając się również o udokumentowaną prawdziwość przedstawionych humorystycznych sytuacji, oparłem się nie tylko na własnej pamięci (to i owo przecież z tamtego mego odległego lwowskiego czasu zapamiętałem), ale również na pamięci innych. Wykorzystałem w tym celu różne relacje znanych mi dawnych mieszkańców Lwowa oraz różne źródła pisane i opublikowane, które zostały uwzględnione w załączonym do tej książki wykazie wykorzystanych materiałów.

ANEGDOTY ARYSTOKRATYCZNE

WIELKIE PSY I MAŁE PIESKI

Karnawałowe i inne bale dla najwyższych towarzyskich sfer dawnego Lwowa odbywały się w kasynie zwanym Szlacheckim lub Narodowym, a przez lwowski *vox populi* * potocznie nazywanym od ziemiańskich właścicieli stajni wyścigowych i stadnin – Kasynem Końskim. Jak wszyscy lwowianie dobrze wiedzą, kasyno to było (i jest, lecz o innej oczywiście funkcji) usytuowane przy ulicy Mickiewicza, naprzeciw narożnika gmachu Uniwersytetu Jana Kazimierza; mieściło się w pięknym, neobarokowym budynku pałacowym. Pełniło ono rolę bardzo ekskluzywnego klubu szlacheckiego, z wyraźnymi, raczej mało demokratycznymi podziałami jego członków i gości na odpowiednio zróżnicowane kategorie, zależnie od ich pochodzenia, pozycji społecznej, zamożności itp.

Do uczestnictwa w klubowym życiu i w odbywających się w kasynie imprezach była jednak łaskawie dopuszczana z różnych względów grupa uczestników, aby tak rzec, tolerowanych.

* *vox populi* (łac.) – głos ludu.

Dawano im to jednak nieraz wyraźnie odczuć. Na przykład na jednym z klubowych przyjęć pan hrabia Badeni wznosił taki oto uszczypliwy i niezbyt dobrze o jego manierach świadczący toast:

Gdzie są wielkie psy – są i małe pieski;

Wznoszę kielich: niech żyje mecenas Majewski!

Pan mecenas o znakomitym adwokackim refleksie nie pozostał panu hrabiemu ani chwili dłużny. Natychmiast go zripostował, odpowiadając takim oto toastem:

Mały piesek dużego wielce sobie ceni;

Wznoszę kielich: niech żyje wielki pies Badeni!

Po takiej odpowiedzi, cały ówczesny Lwów śmiał się z zarozumiałego i aroganckiego hrabiego.

PROFESOR I ARYSTOKRATA

Do pewnej magnackiej rezydencji pod Lwowem wezwano kiedyś na medyczne konsylium dwóch znakomych lekarzy. Do łóżka boleści starej pani hrabiny przybyły dwie największe ówczasnie we Lwowie lekarskie sławy – profesorowie Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, Antoni Gluziński (1856–1935) i Witold Ziembicki (1874–1950).

Po odbyciu konsylium z oboma profesorami spotkali się syn chorej, młody hrabia, oraz opiekujący się chorą miejscowy lekarz. Młodemu, zarozumiałemu arystokracie, przyzwyczajonemu do okazywanej mu na każdym kroku czołobitności, było nie w smak, że pełni godności luminarze lwowskiej medycyny bynajmniej mu nie nadskakiwali. Chcąc im dokuczyć, zapytał w pewnej chwili skromnego miejscowego lekarza:

– Panie doktorze, dlaczego właściwie nie jest pan jeszcze profesorem uniwersytetu? Przecież to nic trudnego...

Na co profesor Gluziński zareplikował następująco:

– Ma pan zupełną rację, panie hrabio – być profesorem uniwersytetu jest istotnie bardzo łatwo. Tylko że zostać nim jest niezmiernie trudno. Natomiast zostać arystokratą jest stosunkowo łatwo, ale być nim – jest naprawdę bardzo, bardzo trudno...

DOWCIPNY HRABIA

Hrabia Wojciech Dzieduszycki* ze Lwowa (ale nie ten tegoż imienia i nazwiska, również lwowianin, mieszkający od dawna we Wrocławiu i przez przyjaciół pieszczotliwie wołany „Tuniu” – lecz jego odległy przodek) żył w latach 1848–1909, był politykiem galicyjskim, posłem do austriackiego parlamentu i przez jakiś czas ministrem dla spraw Galicji w rządzie austriackim. Był też docentem Uniwersytetu Lwowskiego, pisarzem, publicystą i filozofem.

Szczupły i bardzo wysoki, miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Słynął z dużego poczucia humoru w całym cesarstwie austriackim i był w nim powszechnie uważany za jednego z najdowcipniejszych ludzi. Jego dowcipy jednak bynajmniej nie zawsze odpowiadały współczesnym mu regułom dobrych manier i towarzyskiego *savoir vivre*'u (zwłaszcza w odczuciu bezpośrednio nimi zainteresowanych). Oto kilka związanych z owym hrabią Dzieduszyckim anegdot:

DZIEDUSZYCKI I DULĘBA

Dzieduszycki bardzo nie lubił Władysława Dulęby (1851–1930) – ministra polskiego pochodzenia w parlamencie austriackim. Pewnego razu zadał zagadkę swoim parlamentarnym kolegom:

* Zob. *Tamten Lwów*, tom 8 *Arcylwowanie*, rozdział *Hrabia Wojtek (Wojciech Dzieduszycki)*.

– Co to jest, prhoszę panów: zaczyna się na „Du”, a kończy się na „a”. O nie – to nie jest to, o czym panowie myślicie. To jest pan ministerh Dulęba.

Kiedy indziej Dzieduszycki opowiadał jakimś swoim znajomym we Lwowie o austriackim parlamencie, z którego sesji właśnie powrócił:

– W naszym parhlamencie, prhoszę panów, posłom głowa wcale nie jest potrzebna, gdyż na jego posiedzeniach i tak śpi się cały czas. Głowę oddaje się więc w garhderhobie rhazem z kapeluszem. Pewnego razu szatniarz oddaje mi moją głowę, nakładam ją – i czuję ze zdziwieniem, że jestem strhasznie głupi. Prhoszę sobie wyobrhazić, moi panowie, że szatniarz zamiast mojej głowy dał mi głowę ministrha Dulęby...

DZIEDUSZYCKI – HERALDYCZNY DORADCA

Kiedy znany lwowski adwokat i poseł do austriackiego parlamentu, Natan Loewenstein (1859–1929), za swoje zasługi dla monarchii otrzymał od cesarza Franciszka Józefa tytuł szlachecki – zapytał Dzieduszyckiego:

– Panie ministrze, proszę mi łaskawie doradzić, jaki właściwie herb mam sobie przybrać?

Dzieduszycki odpowiedział bez chwili namysłu:

– Pierhdylion.

I tu potrzebny niewielki komentarz, „pierhdylion” to bynajmniej nie czyzy, nic nieznaczący wymysł Dzieduszyckiego, szokujący wulgarnym brzmieniem. To finezyjna i dowcipna gra słów: nie bardzo, hm, szlacheckie nazwisko Loewenstein o niemieckim brzmieniu znaczy w przekładzie na język polski dosłownie „lwi kamień” (niem. *Loewe* = lew, *Stein* = kamień). Tenże „lwi kamień” przełożony na francuski język arystokratów brzmi: *pierre de lion* (franc. *pierre* = kamień, *lion* = lew),

co w fonetycznej transkrypcji Dzieduszyckiego zabrzmiało bardzo swojsko, acz rubasznie jako „pierdylion”...

Szlachcic Natan Loewenstein okropnie się obraził na swawolnego hrabiego Wojciecha i przybrał sobie za nie wiadomo czyją poradą dumnie brzmiący herb Opoka. Zapewne dlatego, że kamień (ów „-stein” z końcówki jego rodzowego nazwiska) może w końcu być niekiedy także opoką, czyli skałą osadową.

Jak mi się jednak wydaje, w polskich herbarzach próżno by chyba było szukać owego kamiennego herbu...

DZIEDUSZYCKI I DELEGACJE

Pewnego dnia, o bardzo wczesnej, porannej porze, przybyła do pana ministra Dzieduszyckiego w jakiejś urzędowo-społecznej sprawie delegacja młodych nauczycielek. Obudzony przez kamerdynera hrabia Wojciech wyszedł do nich z sypialni jeszcze rozespany i w szlafroku. Ziewając, zapytał:

– Czym mogę paniom służyć?

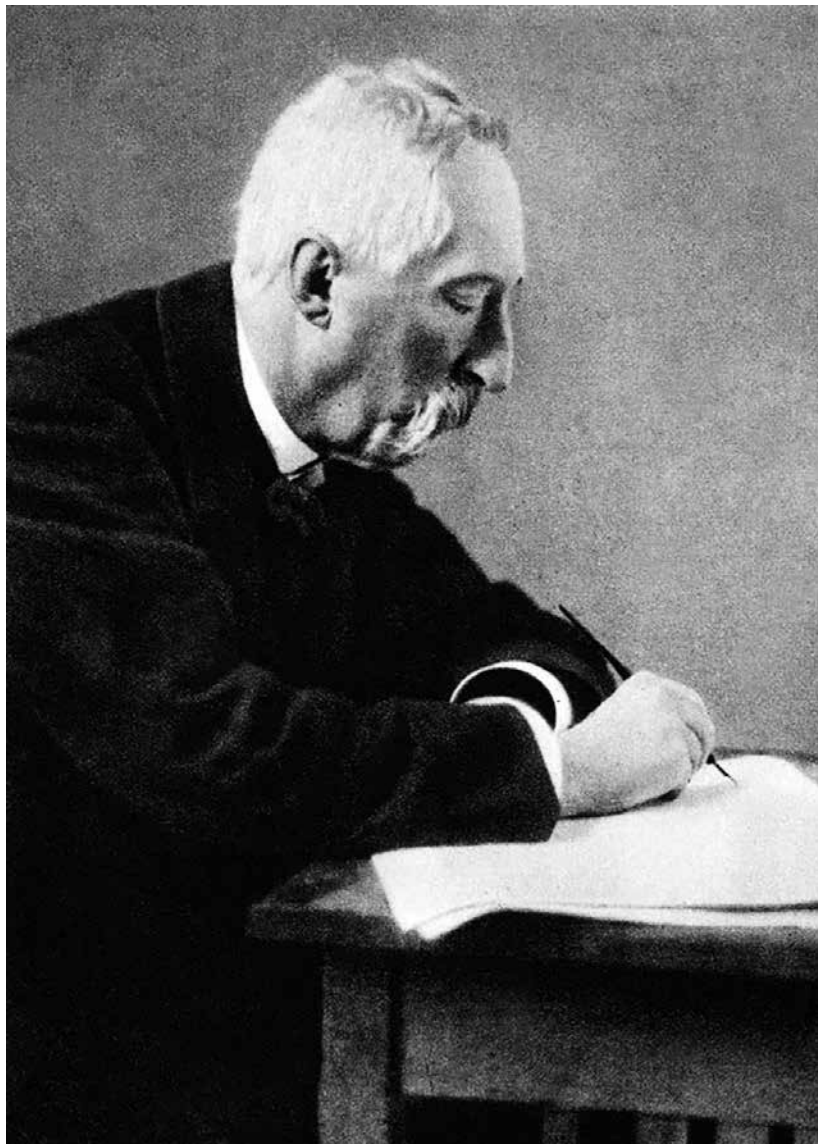
Po czym, jakby się dopiero w czymś połapawszy, z pośpiechem dodał:

– Och, przepraszam panie barhdo – ale najpierw siusiu...

Gwoli prawdzie informuję, że anegdotę tę słyszałem kiedyś także w nieco innej wersji. Jej bohaterem był mianowicie nie hrabia Wojciech Dzieduszycki, lecz ktoś inny, też zresztą hrabia: Agenor Gołuchowski* (1812–1875) – również galicyjski polityk i austriacki mąż stanu, minister spraw wewnętrznych cesarsko-królewskiego rządu i trzykrotny namiestnik Galicji.

Po tej dygresji powróćmy do hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego. Innego dnia, ale tym razem o bardzo późnej, wieczornej

* Zob. *Tamten Lwów*, tom 3 *Świątynie, gmachy, pomniki, rozdział Eksceleńcja na cokole (pomnik Agenora Gołuchowskiego)*.



Hrabia Wojciech Dzieduszycki, zdjęcie wykonane pod koniec życia

porze, w jego dziedzicznej wiejskiej posiadłości zjawiała się delegacja miejscowych włościan z wójtem na czele w celu rozstrzygnięcia przez pana dziedzica jakichś miejscowych, gminnych sporów. Narada się jakoś przeciągała, więc Dzieduszycki w pewnej chwili ją przerwał, mówiąc:

– Ja was, moi ludzie, bardzo przepraszam, ale jest już późna godzina i ja muszę iść do pani hrabiny, by spełnić mój małżeński obowiązek. Żegnam...

DZIEDUSZYCKI I DAMY

Pewnego razu w pewnym lwowskim arystokratycznym salonie w towarzystwie kilku wytwornych pań Dzieduszycki bez żadnych zahamowań i zażenowania opowiadał o swoich raczej dyskretnej natury zdrowotnych niedomaganiach. Jedna z obecnych dam, dotknięta i oburzona tą skandaliczną na tamte czasy (a i dziś jeszcze źle widzianą) ekshibicjonistyczną niedyskrecją, zauważyła cierpko:

- Mógłby ekscelencja owijać w bawełnę...
- Na to hrabia Wojciech flegmatycznie:
- Prhóbowiałem, nic jednak nie pomaga...

DZIEDUSZYCKI I ABRAHAMOWICZ

Dawid Abrahamowicz (1839–1926), pochodzący ze znanej galicyjskiej, wschodniomałopolskiej rodziny ormiańskiej, był wielkim finansistą i posłem do wiedeńskiego parlamentu. Pewnemu posiedzeniu jakiegoś lwowskiego towarzystwa przewodniczył hrabia Wojciech Dzieduszycki, który inaugurując owo zebranie i witając przybyłych, a był wśród nich również Abrahamowicz, zaczął swoje wystąpienie w taki oto sposób:

- Panie, panowie – i ty Dawidzie Abrahamowiczu!